# R.A. Olek: * KUBA *

**KUBA**

− Wyjeżdżam – powiedział, trzasnął drzwiami i wyszedł z domu.

− Co jest, kurwa? - ocknął się Stary - Zośka, gdzie on polazł, ten gówniarz?

Zatoczył się, próbując wstać od stołu, poleciały na ziemię butelki po tanich winach, resztki jedzenia rozmazały się na ceracie, pod dłonią, którą Stary próbował się wesprzeć, upadając. Rozlane ostatki taniego wina pociekły ze stołu na podłogę i na niego, oblepiając go siarkowym odorem.

− Co tu syf taki, czemu nie sprzątasz głupia krowo! - chwycił najbliższą butelkę i ledwo się unosząc w pijackiej malignie, rzucił nią niezdarnie w kierunku kobiety stojącej przy kuchni.

− A paszoł won, dziadu! Rzucić nawet nie umiesz porządnie.

Otyła kobieta w poplamionym fartuchu i papilotach nawet się nie odwróciła. Gotowała bigos, czy kapuśniak. Zapach rozchodził się po pomieszczeniu i mieszał z odorem potu, niepranych ciuchów, starych petów i rozlanego alkoholu. Cały dom śmierdział kwaśno i ciężko.

− Dobrze, że poszedł. Dawno już powinien. Co go tu czeka? Jaka przyszłość? Jaka praca? Będzie pił, jak ty, jabole pod sklepem? Albo na jumę do Raichu jeździł z tymi kumplami, dresiarzami? Młode wilki, pies ich jebał, gówniarzy pryszczatych.

− Kasę przynajmniej przywożą...

− Kradną! Durny ty. To złodziejstwo jest, bandyterka!

− Eeee, bogatym kradną. Niemcom, w dupę jebanym faszystom.

− Stary, a głupi. Wojna dawno skończona. Wytrzeźwiej wreszcie.

− Taa, skończona, czekaj, jeszcze tu przyjdą Niemce. Do tego domu, w którym siedzisz. Myślisz że zapomnieli? Gówno tam zapomnieli. Udają, faszysty, szykują się wrócić. Nie z Hitlerem to z tą, no... Uniom. Granice przesuną, ziemie i domy zabiorą.

− A bo to twoja ziemia stary? Pegieeru ziemia, tak jak ty pegieeru rab, pachołek. Tfu! Nic! Przez całe życie nic nie zrozumiał ty. Pić tylko, jak dziad!

− Sama nic nie rozumiesz. Nigdy nie rozumiałaś.

Stary w końcu się podźwignął, opadł na krzesło, wsparł łokcie na ceracie, schował głowę między dłonie i pogrążył w myślach. Po chwili odsapnął głośno, rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem po stole i wokół. Podniósł ostatnią niezbitą butelkę, przystawił do ust i pociągnął resztkę siarkowego sikacza.

− Mówił, dokąd jedzie?

− Na Śląsk chciał, jak najdalej stąd. Byle cię nie widzieć, Stary.

***

*Kochana mamo,*

*Trochę czasu już minęło, dlatego piszę do Ciebie, żebyś się nie denerwowała. Jestem na Śląsku, nie napiszę Ci*

*gdzie, żeby Stary nie przyjechał, bo jeszcze wstydu narobi. Wiesz, że potrafi. Nie szukajcie mnie, bo już tam do was nie wrócę, a czy do siebie zaproszę, to się jeszcze okaże. Jestem zdrowy i mam się dobrze. Jak tylko wysiadłem z pociągu, od razu poszedłem do tego biura pracy OHP. Tego z ogłoszenia, co mi pokazałaś w gazecie. Przyjęli mnie miło - widać, że potrzebują ludzi. Pracy od razu nie dali takiej jak chciałem, ale radzę sobie. Póki co jako pomocnik mleczarza jeżdżę z kolegą na Zuku i butelki pod drzwiami pełne zostawiamy, a puste zabieramy. Klawe zajęcie i miasto powoli poznaję, i okolicę, ludzi. No i pieniądz jest z tego drobny, na życie skromne, ale starcza. W biurze pracy powiedzieli, że na górnika to się trzeba najpierw wyuczyć, to poszłem do szkoły zawodowej, zaocznie, wieczorowo. Mają tu taką, dla pracujących. Chodzę codziennie. Jest trochę śmiechu, bo jestem najmłodszy i nie stąd. Bardzo nie stąd. Czasem nie wiem nawet co do mnie mówią w tym swoim śląskim narzeczu, ale podoba mi się. Uczę się we wszystkie wieczory, a w soboty i niedziele, jak mam wolne, powtarzam lekcje. Dużo jest o skałach, o szybach (takich górniczych, nie szklanych), o tym jak fedrować, podpory stawiać, pod ziemią się zachowywać. Ciekawe to wszystko i nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie na dół pozwolą zjechać - do kopalni - żeby zakosztować "górnikowania". Coś ci jeszcze napiszę na koniec o tutejszych. Inni są niż u nas ludzie. Są STĄD, nie to co u nas - każdy bez korzeni, bez przeszłości. Tutejsi od pokoleń z węglem żyją, fedrują z dziada pradziada. Dumni są i twardzi. Nie piją byle czego i smutków wódką nie gaszą. Przy piwie - pewnie, siądą i otwarci się robią, weseli i towarzyscy. Ja nie piję. Nigdy nie będę, przez Starego. Podobno "kto nie pije ten donosi" - tak tu mówią, ale jakoś im się wytłumaczę. A - do kościoła wszyscy chodzą, to i ja muszę, żeby nie być taki obcy. Zart ci jeszcze opowiem. Pyta mnie raz kolega z mleczarni: "A to gorol, po coś tu przyjechał?", "Jaki ze mnie góral, znad morza jestem" - mówię, a on w śmiech. "Wszystkie wy som gorole". Nie zrozumiałem, wiesz? Dopiero inny kolega mi wytłumaczył co to "gorol" po śląsku. Obcy, nie stąd, Polak nieŚlązak. Zabawne, nie? To wiedz już że jestem "góral" znad morza dla nich.*

*Kończę, bo już dziesiąta a o czwartej do pracy wstaję. Wiadomo, mleko przed śniadaniem ma być na wycieraczce. Porządek tu mają jak w Rajchu prawie. Wszystko mi się tu podoba. A domy jakie - stare, solidne, z cegły czerwonej, z duszą takie. Sąsiady się latami znają i sobie pomagają a nie jak wilki - każdy sobie i w skrytości. Na koniec już - mam nadzieję szybko szkołę górniczą skończyć i pod ziemię zjeżdżać. Jeszcze parę miesięcy, potem praktyki i może zatrudnią i pozwolą. No, pora spać. Kocham Cię.*

*PS.*

*Staremu nie mów, że pisałem. Adresu nie zamieszczam zwrotnego. Jeszcze do Ciebie napiszę.*

***

Czas Kubie przeciekał przez palce. Dni, poranki i wieczory. Tygodnie miesiące i pory roku mijały niepostrzeżenie, aż skończył szkołę, zdał egzaminy, dostał wymarzony angaż. Mógł wreszcie zjechać pod ziemię, wejść do królestwa czarnego złota, twardych ludzi, prawdziwej pracy. Rozpierała go duma. Wreszcie stał się dorosły i na dobre rozpoczął nowe życie.

− Piyrszy dzień na grubie?

− Pierwszy.

− Winszuja, wiela zjazdów, tela wyjazdów. A cóżeś taki zmartwiony?

− Bo pierwszy raz...

− Nie frasuj się chopie, bedzie gut. Ino palcy w oka nie wrażej.

− Dziękuję, zapamiętam.

− Tyś gorol?

− Ja. To znaczy tak, proszę pana. Znad morza.

− Ty mi nie panuj, gorol, nie gorol. Na grubie bydziesz tyż panowoł? “Ej, panie Hansik!!” Tak bydziesz krzycoł? No bez składu i sensu, po co tela słów pod ziemią krzyceć. Jo je Bercik.

− Kuba.

− Jakub, znaczy?

− Kuba.

− Po naszymu Jakub.

− A po mojemu Bercik - to jak to będzie?

− Hubert. Jak tyn świynty, od polowań.

− Polujesz?

− Ja, na frelki...

− Na co?

− No, na dziołchy.

− Aa, na dziewczyny? Jak to?

− Ano tak to. Na tańce jak pójdymy, to ci pokoża.

Winda zaskrzypiała przeraźliwie i zadygotała, zatrzymując się na najniższym poziomie. Ci z przodu odsunęli kratę i drzwi się otwarły.

− No i jak gorol, idziesz? Dowej Kuba, roz kozie śmierć.

− Raz kozie...

Weszli w półmrok.

***

− Pamiętam go, fajny był synek z niego.

Zmęczony życiem Bercik usiłował sobie przypomnieć stare dobre czasy górniczej chwały, jeszcze sprzed epoki Balcerowicza. Sączył piwo, rozglądając się niepewnie dookoła. Dawno tu nie był, na widoku, w eleganckich ogródkach mikołowskiego rynku. Kiedyś owszem, przesiadywał nawet w Myśliwskiej nieopodal, ale to były inne czasy. Górnik to był ktoś przez wielkie K, były pieniądze, deputaty, praca, szacunek. Knajpy też były inne, wszystkie podobne jedna do drugiej i bez tych zagranicznych wynalazków. Piwo smakowało tak samo i było w dwóch zacnych gatunkach, nie to co teraz, te pedalskie krafty i babskie desperadosy.

− Trochę dziwny, bo gorol nie stąd, ale robotny i chętny. Piyrszego dnia, jak na grubę my jechali, to my się zgodali, że go z dziołchami poznajomia. Pokoża co i jak w tym temacie, bo młody był i nieopierzony, jak kurczak. Poszli my do baru takiego jednego, co się Myśliwsko nazywoł, już go ni mo. To znaczy Myśliwskiej nie ma, bo jest tam coś ciągle, kebeb turecki jakiś, czy co...

− Tak tak, ciekawa knajpa. Taka z duszą, historią, elementami architektury z dawnych lat.

− Taa, elementami. A pan redaktor to o architekturze pisze, czy o Kubie?

− Jakub Kalinowski, tak się nazywał prawda?

− Tak godoł, ale jak on tam się nazywoł, kto go wi. Do pracy przyjechoł na Śląsk, na "Halembie" my razem robili. Coś tam się musiało ciągnąć za nim, bo jak taki srul z domu ucieko i roboty na drugim końcu świata szuko?

− No tak, tak. To co z nim? Coś więcej pan opowie?

− Piwo postawisz redaktorku, to opowiem.

− Pani Jadziu!! Tyskie dla pana tutaj, jeszcze jedno.

− Dzięki. Tego Kubę, to wziąłech trochą pod skrzydła. Jo kawaler, choć po przejściach, on chłopak młody, wyględny, romantyk taki z oczu, to se myślołech, że będą panny za nami sznurem. Pokoża mu, myślołech, jak do dziołchy zagodać i kaj ścisnąć, żeby kiecka zadarła. Śmioł się i słuchoł. Nawet z początku się zgodził, ale nic z tego nie wychodziło. Co kaj my poszli, to siedzioł bez słowa, herbata pił, tyj miętowy. Kto to w ogóle takie zielsko dudla? Czasami w barze nawet nie mieli, to zwykły tyj zamawiał. Kawy tyż nie tykoł i cygaretów, no dziwok. Poznali my nawet takie dwie w barze. Sztudentki, uważej pan, kryminalistyki, więziennictwa czy coś. No od razu się kapłech, że niegrzecznych synków lubiły. Widać było, że miętosić się chciały. Mi to jedna nawet nóżką pod stołem ten, tego... Bez buta, uważasz pan.

− O Kubie miał pan mówić.

− No jo o nim przecież. My się tam migdolimy, gadka szmatka, oczami mnie zjodo ta frelka, a tyn na swojo ledwo kuknie. Burczy coś i ślypia odwraca. W sufit patrzy znudzony. A tako frela! Panna znaczy... Nogi do ziemi, szpila czerwona, cyc podniesiony i ściśnięty, tapir, maskara, usta wymalowane i stworzone do tego, no wie pan.... No brałbyś i pan, jak słowo daję! A ten nic. To się babka obraziła, fuknęła i jeszcze ta drugo zabrała. Tela było tego uczenia. Ale miły był chłopak, to i długo się nie mogłech na niego boczyć. Miał w sobie jakiś żal, wie pan? Jakby szukoł czego...

− I co, znalazł?

− Bo ja tam wiem? Po miesiącu miałech go dość, bo dziołchy odstraszoł, chocia gryfny, to się przestołech z nim prowadzać. Ale ale, czekaj pan. Była tako jedno. Pamiętom.

Roz siedzimy, jo z browarkiem jednej takiej mrugom, mówię Panu, jak potem z nią na Omegi w Brudzowicach pojechołech, to działo się, oj działo... A tyłeczek jaki miała zgrabny i cycuszki, że palce lizać...

− Ale co z Kubą?!

− A, ten ciamajda roz ino oczy wielkie zrobił. Wtedy właśnie jak ta Kaśka wyhaczyłech.

Wtedy do Zacisza przyszła ta Kryśka, aptekarka ze Starej na rynku, kojarzysz pan? No tej z frontem jak ze starej pocztówki. Po ojca przyszła, bo się zasiedzioł w smutkach, rozumiesz pan. Ooo, wtedy to ten Kuba oczy zrobił! Jakby Janioła obejrzoł. Zadławił się herbatą i mało nie udusił. A ona tako nijako, zwykło dziołcha. Małomiasteczkowa. Tak teraz mówią na takie.

− Wyszedł z nią?

− No coś pan, nawet nie wstoł. Taki to był ciućmok, nieśmiały do bab. A coś pan taki ciekawski? Skąd w ogóle pan jesteś i po co się o niego pytosz?

− Z Koszalina, badam sprawę, w którą był zamieszany. Nie mogę panu nic więcej powiedzieć ponadto, że szukam go, a zniknął i tu w Mikołowie trop się urywa.

− Urywo się, albo i nie. Ja tam nie wiem. Z tą Kryśką to chyba się jeszcze spotykoł, ale jak już mówiłech, jo się z nim więcej nie prowadzałech. Tela co w robocie, na kopalni żech go widywał.

− I nic dziwnego pan nie zauważył?

− Dziwnego? On cały był dziwny.

− Może pan sobie coś przypomni. Jakieś zdarzenie? Rozmowę?

− Nic. I wiesz pan co? Skończmy ta rozmowa. Płać pan za piwo i spierdalaj. Redaktor kurwa, śledczy się znalozł. Z Koszalina, albo innej czerwonej dziury. Pani Jadziu! Ten gorol beceluje i wypierdala.

− Jasne, jasne panie Hubercie - powiedziała, szeroko uśmiechając się, korpulentna kelnerka w sile wieku - pan tam sprawdzi na zewnątrz, czy rowery stoją, co? Albo czy pan zakurzyć nie ma chęci...

Bercik wyszedł niechętnie, rzucając na odchodnym pożegnalne spojrzenie redaktorowi. Chłodne.

− A pan też niech już idzie. Po co to stare sprawy rozgrzebywać? - ciszej odezwała się kelnerka, dla niepoznaki wycierając stół z niewidocznych okruszków.

− O Kubę i Kryśkę, to niech pan w aptece zapyta. Może coś powiedzą.

− A pani, wie coś?

− Idź pan już!

***

*Tego wieczoru w barze spotkałem Cię po raz pierwszy. Weszłaś do tej speluny jak promień letniego słońca, co wpada nagle przez okno i rozświetla szarość listopadowego dnia. Wiesz, takiego kiedy nie wiadomo czy to jeszcze dzień, czy już noc, bo zawsze jest ciemno, zimno i deszcz pada, przesiąknięty pyłem i dymem. Wrzesień, ale miałaś na sobie jeszcze letnią sukienkę. Od razu Cię zobaczyłem. Przeznaczenie? Drobna i wesoła, widziałem jak uśmiechasz się promiennie do barmanki. Masz najpiękniejszy uśmiech na świecie, wiesz? Nie uśmiechałaś się wtedy do mnie, ale i tak poczułem ciepło w sercu i taki spokój. Jakbym znalazł to, czego szukałem. Chciałem Cię zapoznać, ale nie zdążyłem. Podeszłaś do jakiegoś faceta przy barze. Uśmiech zniknął z Twojej twarzy, pojawiła się troska. I smutek. Tak, smutek i żal. Coś do niego mówiłaś, chwyciłaś za rękę, on ją odtrącił, prawie Cię uderzył. Przypadkiem pewnie, bo zaraz się uspokoił, dał wziąć pod ramię i wyszliście. Kto to był? Pewnie mi nie powiesz tak od razu, ale chciałbym się dowiedzieć. Wszystko o Tobie chciałbym wiedzieć. Nie zdążyłem wtedy podejść i zagadać, ale chcę Cię poznać. Jeśli też chcesz - odpisz i zostaw odpowiedź, może być w tej samej kopercie. W tym słupie na ogłoszenia (Litfasie, chyba tak na to mówicie), na który patrzysz codziennie przez witrynę apteki, jest na dole szczelina, przy podstawie. Tam zostaw odpowiedź. Proszę.*

***

Kuba lubił pisać listy. Od kiedy skończył szkołę szło mu to znacznie łatwiej i wydawało mu się, że są nawet trochę ładne. Pisał więcej do matki. Zawsze nosił przy sobie mały zeszyt, w którym notował myśli i zdarzenia, którymi chciał się z nią podzielić. Teraz jednak napisał inną wiadomość. Specjalną, do swojej wymarzonej ukochanej. Siedział w barze mlecznym po pracy i pisał, nie zważając na gwar codziennych rozmów, krzykliwe zamówienia i głośne wezwania z kuchni o odbieranie dań. Rolada z kapustą zdążyła już przed nim wystygnąć, kiedy skończył i starannie wyrwał kartkę. Zgiął ją wpół, z namaszczeniem wsunął do koperty i schował w kieszeni na sercu. Zapomniał o roladzie, zresztą nigdy ich tak naprawdę nie lubił, po prostu chciał jeść i być jak prawdziwy górnik. Wyszedł i rozejrzał się.

− E, bajtel! Chcesz zarobić tysiaka?

− No pewnie.

− Znasz Starą Aptekę na rynku?

− No pewnie, kto nie zna?

− Masz tu kopertę, leć tam i daj aptekarce, tej młodej -

− Kryście, tej z długimi włosami?

− Tej samej. Do rąk własnych. Pamiętaj, tylko jej. No leć! Oddasz, to wróć.

− A na pewno ma pan ten tysiąc? Nie cygani pan?

− Mam, widzisz? Z Kopernikiem, nowiuśki, prawdziwy. Biegnij!

− Tak jest, proszę pana.

− Tylko wróć zaraz, to ważne!

− Się wie!

***

*Jak się nazywasz? Pięknie napisałeś, ale nie wiem czy chcę się z Tobą spotykać. Chyba nie jesteś stąd i nie znam Cię. Jeśli mamy się spotkać, muszę być pewna, że to nie jakiś głupi dowcip. Przyjdź proszę do apteki, daj mi jakiś znak, że to Ty, nie wiem. Maść zamów, na porost włosów. Wtedy będę wiedziała, że to Ty.*

*PS. Helka, jak to ty, to cię udusza*

***

Stara Apteka o tej porze była zwykle pusta. Kuba wziął tego dnia wolne i od rana, długo, kręcił się po rynku. Kluczył między taksówkami, udawał, że patrzy w witryny sklepowe. Wszedł nawet do księgarni i znad przeglądanej nieobecnym wzrokiem książki obserwował, czy ktoś nie wchodzi po lekarstwa. Wreszcie, gdzieś koło południa, zdobył się na odwagę i ruszył przez rynek, do wejścia. Kiedy podchodził do bramy pod numerem piątym i już, już miał chwycić za ciężkie drzwi do bramy, łączącej aptekę z sąsiednim salonem tapet, drogę zastąpiła mu dziarska staruszka. Niepyszny otworzył jej drzwi i przepuścił przodem.

− Krysieńko, kochana, takie mam bóle w nogach od tygodnia, poradź no co kupić. Dochtór nic nie poradził, a na pewno są maści jakieś na to, no wiesz ty najlepiej co zadziała. Ta z kotkiem może?

− Maść Tygrysia. Może pomóc, pani Lodziu. Na pewno pomoże.

− Ale kochanieńka, ja wiem, że pomoże, z twoich rąk na pewno. Co jeszcze byś przepisała?

− Pani Lodziu, ja nie mogę przepisać nic, przecież pani wie.

− No, ale tak spod lady, wiesz. Nawet ciut drożej zarachuj, ale żeby działało. Strasznie te kulasy bolą. Oj starość nie radość.

− Bez recepty nie dam rady. Ale poradzę coś. Dieta, dieta i jeszcze raz dieta. Mięso ograniczyć, jak już to na parze. Warzyw dużo i kasze zamiast kartofli.

− Oj ty zawsze to samo, bez fetu, nie masne. Kasza, gotowane i zielsko. Jeszcze bez zołzy pewnie. Daj żyć dziołcha. Na pewno są pile jakieś...

− A, to już lekarz, pani Leokadio, tylko lekarz pomoże.

Uśmiechnęła się uroczo do starszej pani, która, widać, że przyszła raczej pogadać, niż szukać remedium na

bardziej lub mniej dotkliwy ból. Starość nie radość i boli bardziej niż jakakolwiek choroba. Rozmowa zdała się nie mieć końca. Kuba wpatrywał się zakłopotany w posadzkę, usiłując zebrać myśli, zaplanować co ma powiedzieć. Czarno-białe trapezy kafelek na podłodze, solidna drewniana lada, przedwojenny zapach maści i leków. Dźwięki tysiąca rozmów, skrzypienie drzwi otwieranych setki razy. Wszystko to mieszało mu się w głowie. Wewnątrz płonął z niecierpliwości. Kiedy ta baba skończy?

− A pan? Czego sobie życzy?

− Eee.... Poproszę maść. Na porost włosów.

Podniosła wzrok znad lady, zdziwiona. Zobaczyła wysokiego, szczupłego chłopaka z jasną czupryną, silnie zarysowaną szczęką. Dłonie. Smukłe i delikatne, obejmujące ramiona, jakby się chciał ochronić. Przed czym?

− Myślałam że nie istniejesz... - powiedziała cicho, bo wychodząca właśnie staruszka kiedy trzeba, miała nadzwyczaj czuły słuch.

− A jednak... - uśmiechnął się nieśmiało Kuba, podnosząc wzrok. Spojrzał jej w oczy, niebieskie i wielkie. Zatonął w nich.

Była niedziela. Z tych ostatnich jesiennych niedziel, kiedy wspomnienie lata rozmywa się w nadchodzących nieuchronnie w listopadowych szarugach. Wciąż świeciło słońce, na drzewach ostatnie złote liście trzymały się kurczowo życia. Ludzie wychodzący z kościoła jeszcze nie odkurzyli zamkniętych w szafach i pachnących naftaliną płaszczy i marzli w letnich garniturach i garsonkach. Kuba czekał na Krysię w restauracji. Zamówił stolik dużo wcześniej, jeszcze w tygodniu, żeby być pewnym, że nikt im nie przeszkodzi. Miało być idealnie.

− Kawa i wuzetka, czy coś innego?

Młoda kelnerka o bujnych kształtach wyrwała go z zadumy.

− Jeszcze czekam - Wskazał na puste krzesło naprzeciwko.

− Dobrze, podejdę później.

Pojawiła się zaraz potem. Wesoła, zwiewna i cała w pąsach.

− Jestem.

− Witaj, usiądź.

Usiedli. Zapadła niezręczna cisza, przerywana nieśmiałymi spojrzeniami.

− Kawa i wuzetka, czy coś innego? - wróciła kelnerka.

Kuba chciał się odezwać, w końcu już z nią zamienił dwa słowa, więc wydawała się oswojona. W ostatniej chwili się zorientował, że nie wypada i spojrzał na Krysię wyczekująco.

− To może kawa i strudel.

− Macie herbatę miętową?

− Czarną mamy.

− Poproszę.

Padły pierwsze słowa, zrobili coś razem, powietrze zaiskrzyło wspólnymi gestami i słowami. Poczuli że zaczyna łączyć ich delikatna i zwiewna nić. Każde następne zdanie, spojrzenie, gest, sprawiały, że stawali się sobie

bardziej bliscy, tą szczególną fascynacją pierwszych młodocianych zauroczeń. Czekając na zamówienie zdążyli też przyjrzeć się sobie, nacieszyć przeciągłymi spojrzeniami w oczy, nerwowymi uśmiechami. Dla obojga był to pierwszy raz, na poważnie, w restauracji, z nadziejami na coś więcej. Wuzetka i strudel dawno już zniknęły. Kawa i herbata wypita podwójnie, a oni wciąż nie mogli się nacieszyć swoim towarzystwem. Czas jakby się zatrzymał. Wskazówki zegara na ratuszowej wieży stanęły i nie przesuwały się, zasłuchane w głosy zakochanych.

− Długo pracujesz w aptece?

− Praktycznie od zawsze. Wiesz, to kwestia powołania, ale nie tylko. Ta apteka jest w mojej rodzinie od pokoleń. Przed wojną prowadził ją jeszcze mój dziadek. Po wojnie została znacjonalizowana.

− To znaczy?

− Zabrali mu ją. Rozumiesz, dorobek całego życia mu zabrali, komuniści. “Społeczeństwu” oddali, “ludowi”, czyli nikomu. Nigdy się z tym nie pogodził. Nie mógł patrzeć jak niszczała. W końcu, po odwilży, pozwolili mu w niej pracować. Został kierownikiem i myślał, że jakoś się to wszystko ułoży. Ze może ją odzyska, z czasem. Testament nawet napisał, choć małe szanse były na to, że ktokolwiek go uzna za ważny. Całe życie jej poświęcił.

− To z nim cię widziałem, ten pierwszy raz, w Zaciszu?

− Niee, to ojciec. Nie mówmy o nim. Nie ma z apteką nic wspólnego. Może i dobrze, bo nie dzielił z dziadkiem pasji. Nie rozumieli się.

− A co z dziadkiem? No i z apteką?

− Umarł, przed osiemdziesiątym dziewiątym. Do końca miał nadzieję, ale nigdy nie doczekał lepszych czasów. Zwolnili, zanim to się stało, wtedy tam już pracowałam. Zostałam ostatnia, związana z apteką. Często go potem widywałam. Pytał mnie zawsze jak się pracuje. Doradzał, co dla którego klienta najlepsze, wiesz, takie tam. Znał ich wszystkich i ich choroby pewnie lepiej niż ich własny mąż i żona. Taki był. Z czasem pytał coraz mniej, zapadał się w sobie. Wreszcie odszedł. Zostałam sama z tą historią.

− A ojciec?

− Miałeś o niego nie pytać.

− Ostatni raz, przepraszam. I proszę, żeby historia miała finał.

− Nie wiem czy będzie miała. Dziadek podobno zostawił testament, ale kto go ma, co w nim jest? Kto wie?

Zadumała się, wyraźnie smutna. Na chwilę zawiesiła wzrok na rynku, za oknem. Październikowe przedpołudnie dobiegało końca. Niebo zasnuły ciemne chmury, zanosiło się na deszcz. “Za kilka dni Zaduszki” - pomyślała - “Juzaś cię odwiedzę opa i pogodomy, o aptece i nie tylko”.

− A jaka jest twoja opowieść? Skąd się tu wziąłeś, bo przecież nie jesteś stąd? Dlaczego Mikołów?

− Nie uwierzysz - uśmiechnął się do wspomnień, tych lepszych - łapałem stopa, zatrzymał się jeden kierowca, ciężarówką z Transbudu. Mówię mu, że na Śląsk, a facet - “Do Mikołowa, może być?” - To się zgodziłem i jestem!

− Wariat z ciebie - zaśmiali się razem i niby przypadkiem chwycili za ręce. Zrozumieli, że to jest to, że znaleźli. Będą razem i dla siebie.

W tej chwili ktoś zapukał w szybę, przerywając chwilę miłosnego uniesienia.

Wysoki mężczyzna w starym czarnym, poplamionym płaszczu, znoszonych butach, za krótkich spodniach od niemodnego już garnituru. Tłuste, niedbale zaczesane włosy. Nieogolony, z papierosem w zębach, twarz

zniszczona i zła.

W pierwszej chwili Kuba go nie poznał, wydało mu się, że widzi zjawę. Za oknem stał Stary.

***

− Co tam czytasz, stara cipo?

− A idź w cholerę, nie twoja sprawa

− List może? Od tego wałkonia, co zwiał? Pokaż! Dawaj no!

− Daj spokój, żaden list! Ała, rękę mi złamiesz, przestań, Stary. Bolii!

− Boli, to ty jeszcze nie wiesz jak boli. Okłamujesz mnie, gruba klępo? Czekaj, dostaniesz

za swoje. I nie ręką, niech no tylko lejce znajdę.

− Bogdan, proszę cię. Tylko nie to. Co, miałam nie czytać jak pisał?

− Mikołów? Co to za dziura. Gdzie on jest, ten dureń? Czego on tam szuka?

− Bogdan, błagam cię, daj mu spokój. Nowe życie chłopak chce zacząć, szkołę skończył,

pracę znalazł, radzi sobie. Odczep się od niego. Masz mnie. Jemu daj żyć normalnie.

− Normalnie? Nic nigdy nie będzie normalnie. Wiesz dobrze. Przeklęci jesteśmy, ot co. Tylko on jeszcze nie wie, że się do niczego nie nadaje i nic mu się w życiu nie uda. Po co ma się łudzić i oszukiwać? To gówno się za człowiekiem ciągnie, czy jest tutaj, czy tam, na Śląsku. W tym no, tfu, Mikołowie, tak się ta dziura nazywa? Jadę tam.

− Mówiłam, daj mu spokój.

− Cicho bądź, bo naprawdę wpierdol będzie, że popamiętasz. Musi wiedzieć. Sam potem zdecyduje.

***

− Muszę iść.

Kuba zbladł i zaczął biegać wzrokiem dokoła, jakby szukał ratunku i wyjścia z sytuacji, spanikowany.

− Tak nagle? Kto to jest, ten facet za oknem?

Ponura postać wydawała się jej jakoś znajoma, chociaż nie potrafiła jej nigdzie przypisać. Dejavu, ale jakieś niesamowicie dziwne i nieco przerażające. Rozczarowana i zdziwiona zachowaniem chłopaka, nie wiedziała jak zareagować.

− Nie mogę Ci powiedzieć. Ktoś z przeszłości. Wyjaśnię ci to, jak będzie załatwione, dobrze? Zaufasz mi?

− A mam wybór? Odezwij się, przyjdź jutro do apteki.

− Obiecuję.

Wstając odwrócił się jeszcze, chwycił jej dłoń, pochylił się i pocałował, mocno i czule. Wyszedł zaraz potem, nie odwracając się.

***

− Siadaj - powiedział Stary.

Mieszkanie nie było duże. Ot pokój, łazienka i kuchnia z ciemnym oknem, tyle żeby wpuścić nieco powietrza. Skromna kawalerka w starej górniczej dzielnicy. Kuba usiadł ciężko naprzeciw ojca i spojrzał na niego. Stary wydawał się jakiś inny. Zwiędły i przygaszony bardziej niż go pamiętał, przytłoczony, jakby dźwigał wielki ciężar. Trzęsły mu się ręce, rozglądał się niepewnie, nie ściągnął nawet płaszcza, jakby szykował się do ucieczki. Wyciągnął zza pazuchy pomiętą paczkę Mocnych i zaczął nerwowo grzebać w opakowaniu. Wyciągnął papierosa i już miał włożyć go do ust, ale zatrzymał dłoń wpół drogi.

− Mogę?

− Nie palę - odparł Kuba zszokowany faktem, że Stary w ogóle zapytał.

− Ale ty pal, jak chcesz.

Stary odpalił, zaciągnął się, przymknął oczy i głęboko odetchnął wypuszczając dym.

− Daj szklanki.

Lewą ręką sięgnął pod płaszcz i wyciągnął butelkę Zytniej.

− Nie piję, wiesz przecież.

− Daj, mówię.

Kuba wstał, wyciągnął z szafki dwie literatki.

− Ledwo po południu jest, nawet nie jadłem obiadu.

Sięgnął do lodówki i wystawił na stole prawie całą zawartość. Chleb, salceson, ostatek kaszanki, resztki klopsa z ziemniakami w aluminiowej menażce z zakładowej stołówki.

− Ja też nie. Ogórki pewnie masz?

− Znajdą się. - Postawił też ogórki.

− Polej.

− Nie będę z tobą pił.

− Jak chcesz. I tak polej do dwóch.

Stary odbił flaszkę i podał synowi. Kuba zawahał się, ale polał. Do dwóch. Stary chwycił szklankę i przytknął do szeroko otwartych ust, przechylił głowę do tyłu. Przelewając gęsty płyn łyknął całość na raz, jakby brał haust powietrza po wynurzeniu się z głębokiej wody. Odetchnął głośno, zagryzł ogórkiem, nabił klopsa na widelec. po chwili rozluźnił się wyraźnie.

− Nie nazywasz się Kalinowski.

− Coo?

Jakub dotychczas nie wziął nic do ust. Cały czas wpatrywał się w Starego w oczekiwaniu na to, co miało się wydarzyć, ale i tak wydało mu się, że się przesłyszał.

− Mówię przecież. Nie nazywasz się Kalinowski. Bo ja nie jestem żaden Kalinowski.

− Co ty pieprzysz? Oszalałeś? Jak ty mnie w ogóle znalazłeś? Po co tu przyjechałeś?

Czuł jak wzbiera w nim wściekłość, ostatnie zdanie prawie wykrzyczał, ale opanował się. “Nie dam mu satysfakcji” - pomyślał.

− Ładnie się tu urządziłeś - rzucił od niechcenia, kpiąco Stary.

− Mów!

Kuba zerwał się od stołu i walnął dłońmi w blat. Jednak wściekłość wzięła górę.

− Dobra, dobra. Matce listy słałeś, tak? To już wiesz jak cię znalazłem...

− Prosiłem, żeby ci...

− Nie bądź idiotą!

Stary był już dużo pewniejszy. Wódka zrobiła swoje. Mówił dalej:

− Nie urodziłem się w Mścicach, tego się pewnie domyślasz, co? Słusznie. Osiedliśmy tam z matką po wojnie, za Gomułki, tyle wiesz. Dobra nazwa - Mścice, na marginesie, ale dojdziemy do tego. Urodziłeś się tam, ja pracowałem w pegeerze, matka w Społem, to znasz. Było jak było. Miałeś dziadka, wiesz?

− Nigdy go nie poznałem.

− Tu się mylisz. Poznałeś go, tylko nie pamiętasz. Nazywał się Iwan. Iwan Łytwynczuk. Był ruskim patriotą, Ukraińcem się teraz mówi.

− I co z tego? Co to ma wspólnego ze mną?

− Ma i to dużo, nie przerywaj. Przyjechałem na Pomorze krótko po wojnie, z jednostką.

Bo tego, że w wojsku byłem, też pewnie nie wiesz. Byłem, w radzieckim. Jeszcze w czterdziestym piątym mnie wzięli, miałem wtedy siedemnaście lat. Do Prus wysłali, władzę radziecką na niemieckich ziemiach umacniać. Polakom mówili, że to Ziemie Odzyskane. Niektórzy nawet wierzyli i przyjeżdżali się osiedlać. Zobacz, jak to ludzie głupi? Uwierzą we wszystko, jak im to w interesie jest. Na cudze przyjechali, jak złodzieje, taka prawda, nieważne. Po wojsku matkę poznałem, dobrą Rusinkę. Ich też zwieźli na te ziemie, w ramach Akcji "Wisła". Poczytasz więcej, będziesz wiedział. Teraz to już można. Wziąłem pracę w kołchozie, z matką było nam dobrze, dziadek jeszcze żył. Po jakimś czasie, za Gierka, pojawiłeś się ty. Piękne czasy. Uwierzyłem, że jesteśmy u siebie.

Kuba słuchał zaskoczony i zszokowany. Nigdy ojca takim nie widział. Spod zniszczonej, rozpadającej się, starej powłoki żalu, gniewu, okrucieństwa nawet, wyłaniał się człowiek. Nostalgiczny, rozmarzony, prawie ciepły z każdym następnym wypowiadanym zdaniem. Było już późne popołudnie, zaczęło się ściemniać, kiedy Stary skończył flaszkę. Oczy mu się świeciły, mówił coraz goręcej, ale wciąż składnie.

− Twój dziadek był wyjątkowym człowiekiem. Patriotą, oficerem. To znaczy trzymał się jak oficer. Ostatnie jak go pamiętam, to kiedy przechadzał się na przystanku pekaesu. W starym garniturze, czapce furażerce, ręce splecione z tyłu. Przygryzał brodę i palił jednego za drugim. Nie mówił wiele, myślę że wtedy był już lekko pomylony, wiesz?

Zrobiło się już zupełnie ciemno. Kuba wstał i poszedł do ściany.

− Nie zapalaj. Lepiej, kiedy jest ciemno.

− Chociaż świeczkę. Nastawię herbatę.

Siedzieli w ciszy, Stary palił, na ścianie płomień świecy tańczył cieniami zlewającymi się z dymem.

− Swieczka dobra, za niego. Slava Bohu. Zabili. Znalazłem go powieszonego na drzewie przy tym przystanku gdzie chodził co dzień.

Kuba właśnie zdejmował gorący czajnik z kuchenki. Upuścił go, wrzątek rozlał się po blacie.

− Kurwa! – zaklął, poparzony

− Jak to zabili? Kto? Za co?

− Oni. Pamiętali, rozpoznali go i dopadli.

Kuba stał jak wmurowany. Co jeszcze? O czym on tak naprawdę opowiada? O co chodzi w tej historii i jego wizycie? Do czego to prowadzi?

Obaj zapomnieli o wrzątku. Stary wyciągnął drugą butelkę. Otworzył, nalał znowu do dwóch. Wypił z jednej.

− Nigdy nie będziemy bezpieczni. Ani ty, ani ja. Zmiana nazwiska, miejsca, pracy, nic tu nie pomoże. Jesteśmy przeklęci, cały nasz ród. Za to, co zrobiliśmy. Co on zrobił. I ja.

− Coś ty zrobił?!!!

***

Była gorąca lipcowa niedziela, święto Piotra i Pawła, roku '43. Kościół był pełen ludzi, ze środka dobiegały dźwięki podniosłych pieśni. Gdzieniegdzie przed świątynią biegały wesoło rozwrzeszczane, odświętnie ubrane dzieciaki. Paru chłopów paliło za rogiem machorkę. Nadeszli od strony lasu i wsi, blokując przejście i wszystkie drogi ucieczki.

− Do środka - zakomenderował wysoki blondyn o czarnych oczach, ubrany w wysokie czarne oficerki, skórzaną kurtkę z wyłogami i doszytymi pagonami, w furażerce na głowie.

− Z satysfakcją patrzył jak zalęknieni chłopi chowają się w kościele, ryglują drzwi od środka. Przygryzał przy tym równo przyciętą brodę i palił papierosa.

− Podpalaj - rzucił krótki rozkaz. Z ciżby za nim wyszedł chłopak, może piętnastoletni. Blondyn, równie wysoki, co on.

***

− Zamordowaliśmy ich, rozumiesz? Spaliliśmy wszystkich. Potem ich domy, całą wieś. Potem następną i następną. Zabijaliśmy bez litości, cięliśmy piłami, kosami, rąbaliśmy siekierami, czym kto miał. Co z tego, nie dopadliśmy wszystkich. Wtedy myślałem, że robimy coś ważnego i pięknego. “Czyścimy świat dla następnych pokoleń, dla ciebie” mówił ON. Teraz wiem, że wtedy umarłem. Moje życie przestało mieć sens, tyle że dotarło to do mnie wiele lat później. Tak jakby wtedy Bóg przeklął jego, mnie i całe nasze potomstwo. Przez ten kainowy grzech, przez to koszmarne okrucieństwo.

Nazywam się Łazaruk. Dmytro Łazaruk, syn Iwana. Ty też jesteś Łazaruk, jak ja i twój dziad. Teraz już wiesz.

Patrząc na ojca Kuba poczuł, że otwiera się przed nim otchłań, która go wciąga. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, na przemian gorąco i zimno. Chwycił szklankę i wypił do dna. Zadrżał i stoczył się w pustkę.

− Jesteśmy przeklęci, rozumiesz? Zgubieni. Oni pamiętają, znajdą nas prędzej czy później. Przyjdzie czas, że nas odszukają i zemszczą się. Nie mam siły już czekać. Całe życie umieram. Kiedy to się skończy, to tylko kwestia czasu, albo odwagi zakończenia na własnych warunkach.

− Wyjdź stąd... - powiedział Kuba cicho.

Stary jakby się ocknął, spojrzał na niego nie rozumiejąc.

− Wypierdalaj!

Krzyknął Kuba i zerwał się od stołu.

− Spierdalaj stąd!!! Wypierdalaj z mojego życia na zawsze! Nie chcę cię znać!

Stary wstał bez słowa, otulił się płaszczem i wyszedł. Kuba wziął butelkę do ręki, nalał do pełna i wypił. Potem następną. Pustka wciągała go coraz bardziej. Za oknem zagrzmiało złowrogo i lunął rzęsisty deszcz. Ostatnia z gwałtownych burz tamtego października.

***

*Gazeta Mikołowska*

*Dnia 2 listopada 1992 (poniedziałek)*

***DRAMAT W KOPALNI***

*Dzisiejszego ranka, na terenie Kopalni "Halemba", górnicy idący o piątej do pracy na pierwszą zmianę, zobaczyli ciało wiszące na wieży szybu. Ochrona zakładu i policja zabezpieczyły teren. Wezwany na miejsce lekarz stwierdził zgon, przez powieszenie. Aktualnie prokuratura prowadzi dochodzenie w kierunku wykluczenia udziału osób trzecich i potwierdzenia samobójstwa. Z nieoficjalnych danych uzyskanych przez naszą redakcję wynika, że najprawdopodobniej późniejszy denat wtargnął na teren kopalni poprzedniego dnia późnym wieczorem, korzystając z nieuwagi ochrony, a także szalejącej burzy. Tożsamość zmarłego nie jest znana. Ktokolwiek ma wiedzę na temat okoliczności tej tragicznej i tajemniczej śmierci, jest proszony o kontakt z Prokuraturą Rejonową w Katowicach pod numerami ... Doniesienia przyjmujemy również w naszej redakcji. Zapewniamy pełną anonimowość.*

***

Kuba stał w tłumie górników i patrzył w górę, jak wszyscy, na wieżę szybu. Smagane jesiennym wiatrem ciało kołysało się złowrogo i obijało o żelazne wsporniki. Czarny płaszcz powiewał upiornie, jak skrzydła wielkiego kruka. Sygnały syren straży, pogotowia i policji zbliżały się narastająco i dudniły chłopakowi w głowie. Po chwili różnokolorowe “koguty” rozświetliły blady półmrok poranka, dodając dramaturgii koszmarnej scenie. Policja ogrodziła teren, strażacy rozłożyli drabiny i zabrali się do ściągania wisielca. Kuba, korzystając z tego że nikt na niego nie zwraca uwagi, odwrócił się i odszedł. Zniknął.

***

Wiele lat po tych wydarzeniach, do Starej Apteki na rynku, pod numerem piątym wszedł młody mężczyzna w okularach, z wielką torbą przewieszoną przez ramię. Aptekarka, atrakcyjna kobieta w średnim wieku, z początku nie zwróciła na niego uwagi.

− Dzień dobry.

− Dzień dobry, czym mogę panu służyć?

− Poproszę maść, na porost włosów.

Podniosła wzrok zaskoczona i spojrzała na niego uważniej.

− To jakiś żart? Kim pan jest? Czego pan chce?

W jej głosie brzmiał żal i nadzieja. Drobna iskierka na dnie zaszklonych łzami oczu.

− Porozmawiać. Podobno znała pani Jakuba Kalinowskiego. Szukam go.

− Nie tutaj. Kończę o szesnastej. Proszę przyjść wtedy.

− Da się pani zaprosić na kawę?

− Czemu nie. Czasy, kiedy mnie zapraszano, już dawno minęły. Miło będzie powspominać.

W dawnej Myśliwskiej o szesnastej w powszedni dzień nie było wielu gości. Krysia spojrzała na pięknie odnowiony rynek, na nową fontannę, na zegar wciąż odmierzający czas na wieży ratusza. Zamyśliła się. “Tyle widziałeś” - pomyślała - “skończmy tę opowieść”.

− Chciał pan rozmawiać o Kubie...

− Tak. Rzeczywiście znała go pani?

− Kochałam go - powiedziała i w jej oczach pojawiły się łzy.

− Wciąż go kocham.

***

− Imię? Nazwisko?

− Zofia. Łazarukowa.

− Łazaruk chyba, co? Jak w dowodzie stoi, mówić!

− Dobrze, panie władzo...

Spocony policjant w sile wieku sapał nad formularzem, usiłując dojrzeć odpowiednie rubryki. Oczywiście druk był zbyt drobny, kratek za mało, papier śliski, długopis nie taki. Zamienił imię z nazwiskiem i w ogóle wszystko mu się rozmazało. Poirytowany, podarł formularz, wrzucił do kosza i zaczął od nowa.

− To z czym pani tu do mnie przychodzi?

− Mówiłam już dyżurnemu. Syn mój zaginął, malczik.

Łazarukowa, kiedy się denerwowała, zapominała polskich słów i wracała do mowy swojaków, z dzieciństwa.

− Jaki malczik? Po polsku proszę. Jak wygląda?

− No chlopec. Młody taki, chudy, z twarzy ładny, wysoki. Chyba...

− Zdjęcie pani jakieś ma? - drżącą ręką podała fotografię.

− No, to już coś. A ubrany, w co był? - zapytał policjant, przenosząc wzrok ze zdjęcia na petentkę.

− Ja tam nie wiem panie... Władzo.

− To kiedy to się stało, wie pani chociaż?

− Jakiś miesiąc temu będzie, jak przestał pisać.

− Jak to, pisać?! To gdzie on przebywa, poza miejscem zameldowania?

Nerwowo zaczął przeglądać nowy formularz w poszukiwaniu rubryk pasujących do sytuacji. Szło mu kiepsko, bo

w słabo oświetlonym komisariacie na Gnieźnieńskiej brakowało wszystkiego, w tym dobrych żarówek. Wzrok mu się pogarszał od dłuższego czasu, ale nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą. Emerytura zbliżała się wielkimi krokami, ale on chciał jak najdłużej czuć się młody. Chociaż już nie wyglądał.

− Na Śląsku, w Mikołowie żywie, a czy on się meldował, to nie wiem. Stary do niego pojechał i słuch po nim zaginął. Po Starym, znaczy się. - To już zupełnie nie pasowało do formularza.

− To pani co zgłasza dokładnie? Kto zaginął? I kto to jest, ten Stary?

− No, muż mój. U nas wszystkie tak mówią na niego - Stary.

− Imię i nazwisko! - wrzasnął, kładąc następny druk na biurku.

− Zofia Łazarukowa.

− Łazaruk! To mam zapisane. Jego kobieto! Jego imię!

− Dmytro.

− Nazwisko!

− Łazarukowa...

− Oszaleję! Jego nazwisko.

− No Łazaruk przecież. Jak ma być, skoro mój muż?

− A, prawda... - zreflektował się i zawiesił złowrogo długopis nad kartką - ale mogliby bez ślubu żyć, nie? Na kocią łapę, co?

− Z nim? To bym prędzej się pochlastała.

− No. Nieważne już − ręka opadła, zrezygnowana. Podstęp się nie udał.

− Ten Łazaruk, też zaginął?

− Który?

− Który, który, bury!

− Bo syn też Łazaruk...

− Ja pierdolę. Ocipieję z babą!

− Kaleta! Spokojnie tam, więcej taktu, z damą rozmawiasz - nie wytrzymał policjant z biurka pod oknem.

− Jasne, z damą - burknął Kaleta - Kurwa mać, się Dąbrowski trzymaj swojej pałki - dodał ciszej, żeby przełożony nie słyszał.

− Przepraszam panią, zagmatwane to wszystko jest - przeczesał dłonią po nalanej twarzy, odgarniając spocone włosy z czoła - Proszę o dowód.

− O, tutej mam. Proszę panie... Władzo.

Przyjrzał się książeczce. Przekartkował, zbliżył raz jeszcze do oczu, prawie dotknął nosem kartek.

− Zaraz, przecież tu Kalinowska stoi. To jak to jest? Łazaruk, czy Kalinowski?

− No my Łazaruki, ale w dowodach Kalinowscy. Każdy to wie przecież.

− Jasne, każdy. Nieważne, przynajmniej tu mamy jasność. A ten Stary, mąż znaczy. Najpierw o nim. On też zaginął?

− Aa, ja tam nie wiem. Pojechał, to i dobrze, że nie wraca. Spokój jest w chałupie. Ale syn przestał pisać, to się martwię.

Łazarukowa poprawiła się na krześle, przyciągając torebkę do brzucha obronnym gestem.

− A on co, ten syn? Na obozie jest jakimś harcerskim? Kolonii? Do szkoły pojechał z internatem?

− Nie... Do pracy pojechał, w kopalni na Śląsku. Pisał co miesiąc, przez dwa lata, póki Stary się nie wyrozumiał. O, tu mam listy, proszę.

Podała wyjęty z torebki zwitek. Kaleta udał, że przegląda korespondencję. Po prawdzie, nie potrafił odczytać nadawcy. Sapnął, chrząknął znacząco, poprawił się na krześle, coś tam nabazgrał w formularzu dla dodania sobie powagi.

− Czyli ten syn, młody Łazaruk vel Kalinowski...

− Kuba

− Tak, Kuba, Jakub znaczy...

− Kuba, tak na niego mówimy.

− Nieważne, niech będzie Kuba, to on pełnoletni jest, pracę znalazł i na Śląsku siedzi?

− No tak, ale listy pisać przestał miesiąc temu i...

− To co mi tu pani dupę zawraca, jak dorosły?!!! Ja nie mam co robić, myśli se pani? Tylko dorosłych chłopów szukać, bo mamusia tęskni?

− Pomyślał o formularzu dla zaginionych dorosłych, o nowych procedurach poszukiwań, o brakach w wyposażeniu i o nowym komendancie wojewódzkim, co to miał pierdolca na punkcie “Uprowadzenia Agaty”.

− Bo ja myślała...

− Myślała, srała! Wiadomości babo nie oglądasz?!! Strajki, rozruchy, od tygodnia sobie w Słupsku z tą gówniarską hołotą nie możemy poradzić, wpierdol dostajemy codziennie, po posiłki do centrali prosimy, a ta mi tu z synem marnotrawnym! Co to jest, kurwa?! Wypierdalać!

− Kaleta, ja pierdolę uspokójcie się. To są tajne informacje! - wtrącił się Dąbrowski spod okna - A poza tym, to już nie milicja, tylko nowe czasy. Z szacunkiem do obywatela! - walnął w stół aż papiery i szklanki podskoczyły

− Nawet jak niegramotny - dodał już ciszej.

− Bo pójdziesz na ciecia do Gwardii na stadionie służyć! - jeszcze dodał głośniej, żeby petentkę usatysfakcjonować.

− Dobra, dobra już, dobra. Bo się uniosłem.

Spojrzał złowrogo na Łazarukową, licząc że podziałało i ma ją z głowy.

− Ja przyzwyczajona. Stary tak zawsze...

− Dobrze już. Moja wina, przepraszam. A pani to niech do prasy z tym pójdzie. Mają tam takie działy

“poszukiwany, poszukiwana”, czy coś... My na takie duperele nie mamy czasu, rozumie pani - Słupsk.

− Rozumiem, przepraszam pana oficera. To ja już pójdę.

Kobiecina wstała, zabrała zdjęcie do torebki, poprawiła chustkę i wyszła, cicho zamykając drzwi.

− Do "Głosu"! Tam w prawo i w lewo. Na Armii Czerwonej będzie. Tfu, na Piłsudskiego - rzucił jej na odchodne Kaleta. Wyszła, chyba nie usłyszała.

− Teraz wszędzie tego Piłsudskiego na ulice ładują, co Władziu? - odezwał się pojednawczo do Dąbrowskiego - A on nawet nie marzył, że mu się w Polsce Prusy znajdą, nie? Śmieszne to takie.

− “Prawda czasu, prawda ekranu”, Mieciu. Był Dzierżyński, jest Piłsudski, była “Armii Czerwonej”, będzie “Cudu nad Wisłą”. Wiatr historii na naszych oczach stare czasy wymiata.

− Dawaj flaszkę Władziu, za stare czasy.

− Za stare, chlup.

− Wypili, skrzywili się obaj. Ciepła Żytnia nie smakowała już radośnie jak kiedyś, w stanie wojennym.

− Dawaj jeszcze, po maluchu. Za godzinę do tego Słupska wyjazd. Na trzeźwo tego nie dygnę.

− Daj spokój, żeby na stare lata jeszcze z pałą za gówniarzami po ulicach latać. A to nawet nie żadna Solidarność. Zwykłe łobuzy.

− Demokracja Mieciu, demokracja. Nie daliśmy rady solidaruchom wtedy, to mamy teraz. Ale wrócą jeszcze dobre czasy. Teczki zawsze w cenie, nie?

− Pewnie. Trzymaj na zaś, nie wiadomo kiedy się przydadzą. A z tą baba też niezłe jaja, co?

− A niezłe. Wiesz ty co? Zatelefonuję jutro do tego Mikołowa. Gdzie to jest w ogóle?

− A chuj go wie, Władziu. Chuj go wie - zakończył sentencjonalnie Kaleta, wlewając w siebie resztę Żytniej.

***

− O, zobacz jaki ładny!

Turystka wskazała na dom, stojący przy nadmorskiej ulicy, oddzielonej od plaży tylko wydmą pokrytą sosnowym lasem. Na brukowanej, rozdartej przez korzenie drodze, w szeregu, ustawiły się stare, poniemieckie domy z muru pruskiego.

− I jaki oldskulowy - dodała kobieta.

− Jak cała ta dziura... Jak to tutaj przetrwało w ogóle? Wszędzie dokoła nowości, inwestycje, czasy się zmieniły, powstały miasteczka, ośrodki i kurorty, a tu jakby czas się zatrzymał. Kompletna ruina.

− Urocze to, nie sądzisz? Takie ostatnie ciche miejsce na wybrzeżu.

*[zakończenie: przypis 1]*